

W sprawie podziemi poznańskiej Katedry

A więc - dwa grobowce

Gdyby nie przygotowania do Millenium i ważna pozycja Poznania w badaniach nad początkami państwa polskiego, sprawa wykopalisk w podziemiach Katedry poznańskiej nie budziłaby takiego zainteresowania społeczeństwa jak obecnie. Dowodzą tego nie tylko rozmowy z przedstawicielami różnych środowisk naszego miasta, lecz również listy, jakie po ukazaniu się artykułu („Nowy Świat” z dnia 18 maja br.) napłynęły do redakcji z Poznania i miast Wielkopolski. Jest rzeczą zrozumiałą, że społeczeństwo chce znać wyniki badań w najstarszej polskiej katedrze. Zle się jednak stało, że sprawa ta z merytorycznego zagadnienia ześliznęła się na płaszczyznę rozgrywki personalnej pomiędzy kierownictwem badań, a jej byłymi współpracownikami. Zarówno art. L. Niekrasza w „Nowej kulturze” (nr 17) jak i odpowiedź mgr. K. Józefowiczówny w numerze 21 tego czasopisma, nie stawiają kwestii jasno i wyraźnie: jeden czy dwa grobowce i czy je odsłonięto w czasie badań.

Wiemy, że pierwotna teza o jednym grobowcu Mieszka I upadła i kierownictwo badań wycofało się w toku dalszych badań z początkowych przypuszczeń, uznając, iż grobowce kryły domniemanie szczytki dwóch władców tj. Mieszka I i Bolesława Chrobrego.

Dla szerszego społeczeństwa jest rzeczą obojętną, czyja teza zajęła pierwsze miejsce w bibliografii odkryć w Katedrze poznańskiej: Mgr. Knie czy mgr. Józefowiczówny. Chodzi nam o samą istotę wyników badań i dlatego w artykule moim, referującym wypowiedź L. Niekrasza w „Nowej Kulturze” wyeliminowałem polemikę personalną, zaciemniającą tylko sprawę i zatrzymałem się na merytorycznym zagadnieniu potrzeby jak najszybszego ogłoszenia wyników badań — właśnie ze względu na Millenium i zainteresowanie społeczeństwa.

Powstało pytanie, jakie są dowody tezy o dwu grobowcach.

Praca mgr. Knie nie została opublikowana, a wyniki badań mgr. Józefowiczówny są od dwóch lat na warsztacie naukowym. Kiedy zwróciłem się bezpośrednio do kierowniczki badań podziemi Katedry poznańskiej, mgr. Józefowiczówny

dy z nich posiada bogatą dokumentację rysunkową, fotograficzną i opisową. Dane te trzeba porównywać, opisać, syntetyzować, trzeba też do nich wykonać — na podstawie dokumentacji w skali 1:10 — dokumentację syntetyczną, przystosowaną do wymagań wydawniczych. Tyle osoba kompetentna w tej sprawie.

Trzeba sobie z góry powiedzieć, że nawet, gdy badania mgr. Józefowiczówny zostaną ogłoszone, nie będziemy znali wszystkich zakamarków podziemi tej najstarszej świątyni w Polsce. — z braku funduszy na prowadzenie dalszych badań.

Jeżeli więc musimy poprzestać na przekopach w części środkowej i chórach Katedry co prawda najważniejszych niech zainteresowanie tymi sprawami tłumaczone będzie nie tyle pobudkami emocjonalnymi, co potrzebą wiedzy udokumentowanej.

Henryk BARAŃSKI



OCZAMI DZIECKA

Przy świetlicy szkoły podstawowej w Naramowicach pod Poznaniem od początku roku szkolnego czynna jest sekcja plastyczna, prowadzona przez jednego z poznańskich artystów. W godzinach wolnych od zajęć szkolnych, znaczna część dzieci spędza czas malując i rysując, lub też chodząc pod opieką nauczyciela na spacer. Wrażenia i obserwacje z tych wypraw utrwalone są ołówkiem i akwarelami.

Bezpośredniość i indywidualność dziecięcego widzenia rzeczywistości, nieskażonego naturalizmem — jest godna uwagi. Ostatnio w szkole otwarto wystawę tych prac. Oto lista nagrodzonych dzieci: A. Krotoszakówna, A. Kolasinski, C. Wallas, K. Nogajówna, R. Pawlik, E. Wojciechowska, Z. Przybylski.

Niektóre z tych prac reprodukowujemy na tej stronie. U góry — „Lalka”, obok — „Kwiaty” i akwarela, którą mały artysta zaopatrzył podpisem „Groza”.

Przykład szkoły naramowickiej godny jest ze wszelkich miar naśladowania.

WP Michał hr. Mycielski

Londyn

Wielmożny Panie!

Dla „Nowego Świata” piszę o kulturze na wsi. Jako obiekt służący za tło, na którym rozgrywać się będą losy moich bohaterów, obrałem Gałowo. Pańską niegdyś posiadłość. Przesłanki historyczne skłoniły mnie do zestawienia w tytule Pańskiego rodu z nazwą pegeerów, za co bardzo Pana przepraszam (również PGR-y).

Pozdrowienia z Gałowa

Andrzej BAJKOWSKI

Od czasu, kiedy Pan wyjechał, bardzo dużo się tu zmieniło. Przede wszystkim pałac, który wybudował Pan w 1929 roku, zamieniono w 1956 na siedzibę Zespołu PGR, a jeszcze przedtem była tu państwowa stajnia koni i istniejące do dziś PGR Gałowo. Sale pałacowe podzielono na biura, w buduarze, gdzie trefliła włosy Pańska małżonka, siedzi blond-kociak i stuka na maszynie, Pański były kamerdyner nosi dzweczne miano „woźnego”, a w komnacie Ani, Pańskiej córki, podpisuje się czekaj bankowe.

Wyjrzawszy z okna, zobaczyłby Pan zamiast swego „Adlera” nową, pegeerowską „Warszawę”. Po parku wałęsa się do dziś nieśmiertelny duch legendarnego stolarza z Szamotuł, Sramkiewicza, który za czasów pańskiej babci, Anny Mycielskiej, w 1846 r. przez dwa tygodnie, chroniąc się przed niemieckim pościgiem, mieszkał na jednym z parkowych drzew, z którego później zbudował krzyż na szamotulskim rynku.

W sali jadalnej ustawiono scenkę, w miejsce portretów przodków powieszono na ścianach dyplomy: „Zespół regionalny z Gałowa I miejsce na eliminacjach wojewódzkich w Poznaniu”, „Zespół taneczny z Gałowa wyróżniony na eliminacjach wojewódzkich — 1954 r.” i inne.

Nic Pan nie słyszał o tym zespole? Szkoda. To było za czasów, gdy dyrektorami PGR byli towarzysze Kozica i Wakalski.

Tych 40 chłopców i dziewcząt, zjeżdżających z pobliskich okolic do pięknej sali jadalnej — świetlicy robiło tu więcej ruchu, niż Pańscy goście, uczący się po udanym polowaniu, łącznie z generałem



DZIŚ

— święto naszych najmłodszych

O HRABIACH i PEGEERACH

Andersem, majorem Babińskim, pułkownikiem Mike i wojewodą poznańskim. I niech się schowają towarzyskie spotkania urządzane przez Pańskich poprzedników, książąt niemieckich von Sachsen Coburg-Gotha, byłych właścicieli z Gałowa, choć byli krewniakami rosyjskich carów! Młodzież grała i tańczyła w asyście rozbawionych gałowian, całowano się przy kominku, w tym samym miejscu, gdzie zapłoniona Ania rumieniła się spoglądając na przystojnego gimnazystę z sąsiedztwa.

W 1954 roku odszedł dyrektor Kozica i rozpoczął się powolny zmierzch świetnego zespołu, który w 1957 r., po odejściu dyrektora Wakalskiego, rozpadł się zupełnie. Przebakiwano, że niby chłopcy poszli do wojska, a dziewczęta powychodziły za mąż, ale ja myślę, że nieprawda. Mało to młodzieży zostało w okolicy?

Chocież już w VII wieku przez Gałowo przebiegał prastary szlak komunikacyjny: przez Przemyśl, Bytyn do

Obrzycką i dalej brzegiem Warzy do Poznania, ktoś tam z Poznania i z odległych od Gałowa o 2 km Szamotuł zapomniał o „ym fakcie. Odpowiednie czynniki nie zainteresowały się wspaniałymi warunkami, jakie istnieją w tym pałacyku, nowy dyrektor Zespołu nie wygospodarował ani grosza na rozwój świetlicy, która mogłaby stać się ośrodkiem życia kulturalnego wszystkich okolicznych wsi — tak, jak to było za rządów dyrektora Kozicy.

Trochę się dziwię, bo Szamotuły nazywano niegdyś „miastem uczonych”, ale swoją drogą było to w XVI wieku...

W ogóle wszystko tu biegnie w historycznym porządku: pamięta Pan, jak w 1866 roku gałowianomalże nie wzięła cholera, przyniesiona przez szwedzkich rybaków? Teraz też ich bierze, kiedy patrzą na marnującą się salę, na kulturalno-oświatowego kierownika Zespołu PGR p. Zielińskiego, zalatanego, pędzającego na rowerze z jednego gospodarstwa do drugiego, żeby coś tam zmontować, kiedy pod bokiem jest takie cudo!

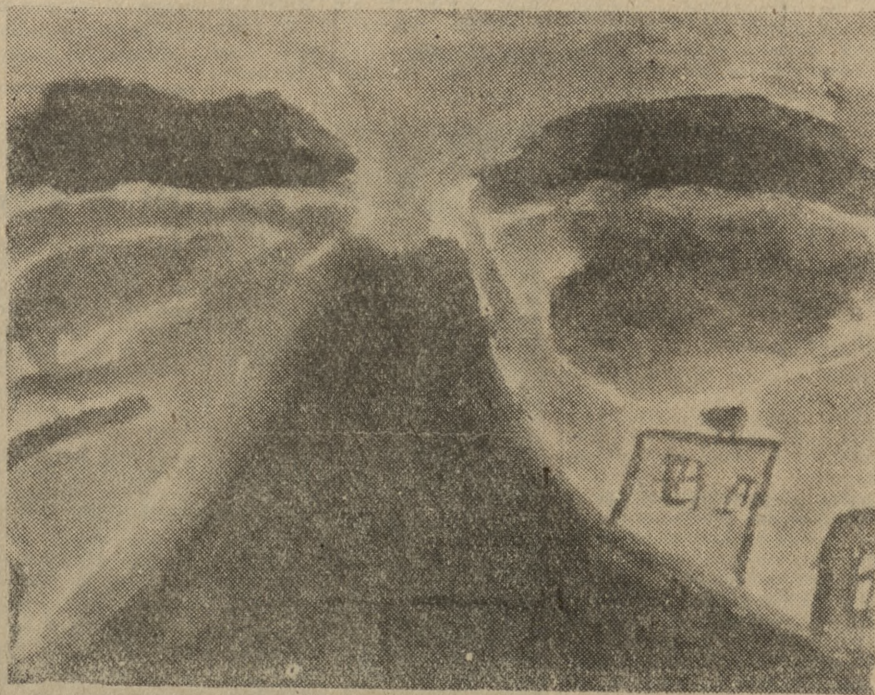
Ktoś z kimś nie może tu się zgodzić! Może kierownictwo Domu Kultury z Szamotuł zainteresowałoby się rolnikami i pogadało z dyrektorem Zespołu?

W Peńskim rodzie — pamięta Pan? — żeniliście się między sobą: Mycielscy z Mielżyńskimi albo na odwrót. Jeśli nie liczyć drobnego wypadku, kiedy to jeden z pańskich krewniaków został po powrocie do domu gacha w łóżu żony (co skończyło się podwójnym zabójstwem) — podobno na dobre wychodziła ta rodzinna zgoda. A tutaj — ani rusz. Po prostu ludzie nie trzymają z sobą.

Byłem niedawno w niewielkiej wiosce w powiecie czarnkowskim, może 50 km od Gałowa. Dziura, jak rzadko, świetlica — dwa mikroskopijne pokoiki. I co Pan powie: zespół teatralny, objeżdżający ze swym programem cały powiat, klub sportowy, koło szkoleniowe dla rolników. Ruch, aż patrzeć miło. Wszystkiego 30 osób, pieniędzy na to nikt nie daje...

Nie ma porównania. Ale co ja Pana będę nudził, to miał być reportaż o kulturze na wsi. Widzi Pan, jak z tą kulturą. Ludzie lubią takie rzeczy, wszystko by zrobili, tylko trzeba im w tym pomóc. I potańczyliby sobie, i pośpiewali, popatrzeli na przedstawienie, a jak książki czytają!

Żeby tak tylko zechciał ktoś ruszyć, zamiast biadolić. Zwłaszcza, gdy są warunki. Kończę, bo to trochę za dużo, jak na małe Gałowo no i boję się, że Pana nieco znudziłem...



Fot. (3): H. Ignor

F. Fenikowski

PODRÓŻ DOKOŁA POKOJU

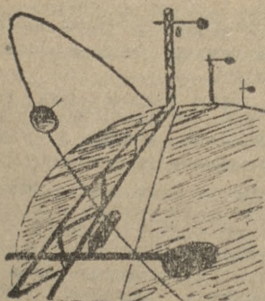
W ogrodzie świąrsze płoną jak skrzypce niepokój. Wyruszę w podróż szaloną dokoła mego pokoju.

Stoją książki na półkach, koga płynie w nieznane, a dymu błękitne kółka są jak orbity planet.

I gra za oknem kosmos i świąrsze rośnie muzyka i kroki samotne rosną mrocznego podróżnika.

Koga w nieznane płynie, a książki grzęzną w cieniach. Jak przejść przez ciemne pustynie kłamstw, pogardy, zwątpienia?

Stałem w pół drogi mojej i nie wiem co przede mną. A dom mój na gwiazdzie stoi i gna przez gorzką ciemność.





NA STARYM RYNKU

Fot. H. Dera

Na marginesie pewnej konferencji

„Dzięki reklamie prasowej — na widowni tłumy rozentuzjuszowanych widzów, pełna kasa i... doskonale samopoczucie wszystkich zaszczytnie wymienionych i pochwalonych instytucji”. Taka oto, zapewne dla niejednego boga myśl — przyszła mi do głowy podczas ostatniej narady w Wydziale Kultury RN m. Poznania, gdzie we wspólnym ataku na recenzentów zjednoczyły się wszystkie niemal instytucje: Filharmonia, Opera oraz Teatry Dramatyczne... Każdy prawie zabierał głos sprowokowany jakimś względami czysto ambicjonalnymi, mówił o tym, co jego dotyczy, jego interesuje, co jemu przeszkadza w pracy. Uczestnik kilku podobnych narad spostrzegł, że wielu z zabierających głos ma w zapasie nagraną taśmę — słowem takie „expose”, które się wygłasza na wszystkie okazje i okoliczności.

Na owej naradzie siedziała koło mnie pani „X” i obie bawiliśmy się w zgadywanie co powie kolejny dyskutant. Wyniki owych zagadek były znakomite. Sprawdzali się w stu procentach...

Tak, tylko — jak mówi Wiech — „za trzecim razem to już mnie nie bawi” i z pierś wyrywa się „krzyk rozpacz”. Czy już naprawdę nikt nie ma nic ciekawego do powiedzenia poza sprawami własnego podwórka? Czy naprawdę nasze środowisko kulturalne przeżywa aż tak głęboką depresję?

Spotkanie to narzuca więc — przede wszystkim — pilną potrzebę koordynacji wszelkich poczynań w naszym życiu kulturalnym. Kto ma tę rolę koordynatora objąć, kto do niej doróże? Jest to bowiem rola trudna i bardzo niewdzięczna. A odpowiednich ludzi, którzy głębokie wykształcenie humanistyczne i zamilowanie do sztuki łączyliby ze zdolnościami organizacyjnymi — brak.

Nie chodzi, rzecz jasna, o administrowanie kulturą, ale o daleko idącą pomoc dla placówek kulturalnych, odciążenie ich od wiezionej troski o rentowność, co — niestety — w naszym mieście nie jest bynajmniej adekwatne z poziomem artystycznym: powiedzmy sobie szczerze, że wszelka sztuka, czy choćby tylko lekka Muza — zapewnia o wiele większą frekwencję niż sztuka na dobrym poziomie artystycznym. Nawet snobizm bywa w naszym mieście konserwatywny i nie sięga dalej poza Słowackiego czy Fredrę („Jowialski” miał powodzenie).

Smutne to, ale prawdziwe; a teraz w okresie decentralizacji — urasta do rozmiarów wielkiego problemu. Chodzi o to, by zmiany te nie wpłynęły na nasze sceny wyłączenie kasowych sztuczydek, by miasto przyjęło na siebie nie tylko rolę koordynatora finansów, lecz również rolę mądrego koordynatora i inicjatora, czy doradcy w ustalaniu odpowiedniego repertuaru.

A więc nie jest to już sprawa tylko pozytywnych recenzji (do których teatr przykłada tak wielką — zbyt wielką — wagę). Nie chodzi też o konkurencję komedii muzycznej, czy operetki (które obwinia się o odciąganie widza z teatrów dramatycznych).

I dlatego naprawdę warto spojrzeć nieco szerzej, wyjść z ciasnego podwórka własnych ambicji i pomyśleć o systematycznym i w sposób ogólny podciągnięciu społeczeństwa na nieco choćby wyższy poziom teatralnej kultury.

E. E.

W tym ostatnim zdaniu mieści się — naszym zdaniem — pełna odpowiedź dla niejakiego „ef” („Karuzela” w Tygodniku Zachodnim), któremu bardzo nie podobał się artykuł pt. „Postać diaboliczna poznańskiej kultury”. — Red.



... pamiętajcie, że bez nich, żaden kukielkowy bohater nie zdobyłby waszej sympatii. Pani Felicja Koszewska (na zdjęciu trzecia od prawej) już około 10 lat ożywia Marcinkowe kukielki. Wkrótce obchodzić będzie 30-lecie swej pracy aktorskiej.

Wyjaśnienie

W moim artykule pt. „Niedaleko Zbyszynia” (Nowy Świat 11/12 bm.) ze zdziwieniem przeczytałem następujące sformułowanie: „Z pewnością przeciwstawia się (muzyka wiejska — mój przyp.) modzie na „miejską muzykę”, która to moda wyglądała na wsi nieco pocieszenie — jak przysłowiowy kwiatek przy koczku...”

Twierdzenie to jest sprzeczne z obecnym procesem kulturotwórczym, który zmierza do zatarcia różnic pomiędzy miastem, a wsią. Zaznaczam, że nie wyszło ono spod mojego pióra.

J. PIEPRZYK

OD REDAKCJI: Naszym zdaniem wyjaśnienie to należy uzupełnić ośmieszeniem fragmentu artykułu, z którego redakcja „Nowego Świata” zrezygnowała, a który brzmiał jak następuje:

„Jedną z prawd mówi, że i chleb się przeje. Z kulturą jest to samo. Pewne formy i treści przeżywały się, stają się nudne, trzeba szukać nowych. A gdy nie można już nic nowego wymyślić, wraca się wtenczas do kultury wiejskiej...”

Nie zamierzając wracać więcej do sprawy, przepraszamy autora za poprawki poczynione w artykule, które — jak widać — na szczęście nie przyczyniły się do zatarcia różnic (poglądów).

„KOZIOŁEK” w negliżu

Uroczy kompan szczeniących lat, nadworny „usypiacz” i trefniś Jego Wysokości Najmłodszego w Rodzinie, ulubieniec tych, którzy oblewają kolorowe fartuszeki łzami i kłękami, a także tych, co już pierwsze papierosy tacie wykradają — słowem Koziołek — Matolek rodem z Pacanowa zawiata do naszego miasta. Stanął na popas w „Marcinku” i od dłuższego już czasu przygotowuje się do pierwszego spotkania z poznańskimi znajomymi i nieznajomymi. Zeby zaś owo Matolkowe rendez-vous z Poznaniem (wiadomo — Koziołkowy gród!) wypadło jak należy — nad toaletą znanego w Chinach i w Pacanowie bohatera wielu przygód, czuwa cały sztab speców od ucieleśniania bajek. To są te same panie i panowie, którzy pokazali Wam jak wygląda piękna Parysada i opowiedzieli gdzie zawędrował Janek Wędrowniczek. Nie znacie tych pań i panów? Nie wiecie, że to właśnie dzięki nim wasi kukielkowi bohaterowie mają piękne głosy i wdzięczne ruchy? Aaa... w takim razie koniecznie spojrzcie na nasze zdjęcia!

Oto prezentujemy Wam dziś aktorów teatru „Marcinek”, którzy — jak rok dłużej i szeroko — bawią Wasze pociechy wysyłając z mrocznej i ciasnej zapadni — wypożyczone aniołkom, wilkom i zaczarowanym drzewom — głosy.

Choć nasz szacowny, pacanowski gość jest jeszcze w negliżu — (premiera dopiero 7 czerwca!) spróbujemy dostać się do jego „marcinkowego” królestwa i podpatrzeć jego opiekunów przy pracy.

Pierwszy z nich siedzi na zaciemnionej, pustej widowni w którymś tam rzędzie krzesel i pochylając się nad błyszczącym mikrofonem dyryguje w ukrytym w zapadni zespole. To pani Joanna Piekarska — reżyser „Przygód Koziołka-Matolki”. Kiedy na scenie kukielki poruszają się „bez awarii” — pani Piekarska może rozmawiać (oczywiście czyniąc wyjątkową uprzejmość nam, ciekawskim). Tak, praca aktora — kukielkarza nie jest najłatwiejsza. Musi nie tylko sam opanować rolę, ale potem jeszcze ożywić „swoją” kuklę, musi doskonale opanować i prowadzić ją (jak to się fa-



... pani Krystyna Niemczykowa medytuje jeszcze nad tekstem...

musi nauczyć się chodzić na koturnach, nieraz 20-centymetrowych, aby jego kukla wystawała na przepisową wysokość. I wreszcie: spróbujcie kiedyś poruszać podniesionymi w górę ramionami tańcząc przy tym, śpiewając i deklamując przez — choćby — kilkanaście minut. A zatem, jeszcze jedna wymagana umiejętność: sprawność fizyczna.

W „Koziołku” wszystkie te sprawy „wylazły” szczególnie wyraźnie: sztuka jest trudna, oparta w dużej mierze na motywach muzycznych (Fr. Wasilkowskiego) i tanecznych. Przygotowanie tego kosztowało zespół „Marcinka” wiele pracy. Adaptację sceniczną Róży Ostrowskiej rozbudowała i opracowała dramaturgicznie Janina Morawska — kierownik literacki teatru. Nad wstawkami filmowymi (będą i takie efekty w „Koziołku”) ponad pięć godzin pracowała Grażyna Wyszomirska i mechanik Janusz Ślusarek. Dobrze, że mogli przy tym korzystać z doskonałego urządzenia elektrycznego: nastawnia i transformatory, przy których instalowaniu dużo zasług położył elektryk Stanisław Sabiniewicz, są dziś chlubą „Marcinka” wobec wszystkich starszych braci teatralnych.

Po scenie dwa zajaczki toczą kolorowe pisanki... „Czerwoną bardziej na środek — mówi pierwszy koziołkowy opiekun do mikrofonu. — Dla czego dajecie z boku?”

Właśnie — dlaczego? Czerwona kurtynka odsłania

Chcecie wiedzieć w ilu wcieleniach zobaczycie „Koziołka-Matolka” na scenie? No, to spojrzcie na zdjęcie i policzcie ile kukiel dźwiga pan Zbigniew Kanicki, kreujący tę rolę...

K. Przychodzki
Fot. (5):

dyskretnie wnętrza zapadni. Ciasna, po brzegi wypełniona aktorami i rekwizytami dekoracyjnymi, wnęką w podłodze sceny. Ponad nią fikają rozbawione, kolorowe kukły, ożywione ruchliwymi rękami aktorów. Za chwilę wkroczy w akcję nasz stary znajomy — Koziołek. Chcecie wiedzieć w ilu „wcieleniach” zobaczycie go na scenie? Ano, to spojrzcie na zdjęcie u góry i policzcie ile kukiel dźwiga pan Zbigniew Kanicki, kreujący tę tytułową rolę.

Cesarzówna ma jeszcze do występu nieco czasu, może zatem — korzystając z niezastąpionej pomocy pani Heleny Przybyszewskiej — poprawić toaletę (zdjęcie u dołu). Tak, to właśnie dzięki pani Helenie, piękna Parysada porusza się z taką gracją, a Janek Wędrowniczek miał taki miły głosik.

Pani Krystyna Niemczykowa — „Marcinkowy” spec od choreografii — medytuje jeszcze na uboczu nad tekstem. To trzeba będzie powiedzieć tak...

Do licha, znowu się kwiatki zacięły! Coś z tą taśmą jeszcze nie w porządku — panie Gumper! I pan Alojzy Gumper — brygadier sceny i niezawodna deska ratunku przy wszelkich technicznych „wpadkach” — spieszy na pomoc. Potem znowu kwiatki ruszają na naprawionej taśmie. Śie-



... to właśnie dzięki pani Helenie Przybyszewskiej piękna Parysada porusza się z taką gracją...

giem naprzód, Matolek przebiega nogami imitując bieg, czarujący kudyły piesek głośno szczeka, wielkie szare drzewo macha rękoma jadąc w drewnianym stojaku na kółkach za czerwona kotarę. Ktoś nie może już utrzymać kukły w górze (bołą zbyt „szybkościową metodą” opalane ramiona!) ktoś potyka się w ciasno cie zapadni o jakiś rekwizyt...

Ale głos pierwszego opiekuna — pani Joanny jest nieustępliwy: „proszę do fortepianu — piosenka...” Spod palców pani Heleny Rabinowej płyną pierwsze takty melodii, koziołkowy zespół zaczyna śpiewać.

Kiedy, siedząc na widowni, usłyszycie dźwięki tej pioseneczki płynącej spoza kulis, pomyślcie o tych, którzy ją śpiewają, a których prawie nigdy nie widzicie na scenie. Bez nich żaden kukielkowy bohater wielu oglądanych przez Was sztuk nie zdobyłby Waszej sympatii.

W. CH.

Najpoczytniejsi autorzy

UNESCO ogłosiła wyniki ankiety przeprowadzonej celem stwierdzenia, jacy autorzy byli najczęściej przekładani na języki obce w r. 1956 oraz w jakich krajach są oni najbardziej poczytni. Oto ich nazwiska według kolejności:

- 1 — Wł. Lenin 331 tłumaczeń, najbardziej poczytny w ZSRR.
- 3 — Lew Tołstoj: 134 (ZSRR).
- 2 — J. Verne: 143 (Hiszpania).
- 4 — M. Gorki: 107 (ZSRR).
- 5 — Mickey Spillane, autor brutalnych powieści kryminalnych: 104 (Turcja).
- 6 — Biblia: 99 (Niemcy).
- 7 — W. Szekspir: (89 (Brzylia).
- 8 — A. Czechow: 84 (Japonia).
- 9 — K. Marks: 81 (ZSRR).
- 10 — J. London: 77 (Norwegia).

Co czytać?

Od osady słowiańskiej — do wsi współczesnej

W okresie powojennym ukazała się niejedna publikacja naukowa na temat wsi. Wiele też ukazało się monografi, dał się natomiast zauważyć brak prac, które by w sposób syntetyczny ujmowały zagadnienia kultury materialnej. Wiś bowiem od tej strony jest mało znana. Chodzi tu nie tylko o rozwój budownictwa mieszkaniowego, ale także o kształtowanie się krajobrazu wiejskiego, o zagadnienie zabudowy „urbanistycznej” wsi.

Na te ostatnie pytania daje odpowiedź niedawno wydana praca popularno-naukowa kierownika Zakładu etnografii Uniwersytetu im A. Mickiewicza w Poznaniu — doc. dr. Józefa Burszty. Autor w sposób jasny i łatwy do zrozumienia, prowadzi czytelnika od osady w zamierzchłych czasach naszej państwowości, poprzez wieś średniowieczną, wieś okresu fol-

warczo-pańszczyźnianego — do wsi współczesnej.

Nie ograniczył się jednak autor do wsi najbardziej typowych, lecz zapoznał nas także z osadami, kształtującymi się w specyficznych warunkach. Jest to więc dzieło uzupełniające do naszych dzieł. Przeszło 30 map, planów, zdjęć — podnosi wartość książki.

Sądzę, że poza przydatnością dla historyków, etnografów, geografów — szczególnie będzie ona przydatna w bibliotekach szkół licealnych, w bibliotekach powiatowych i miejskich, a szczególnie w domowych bibliotekach nauczycieli wiejskich, i to przede wszystkim naszego województwa. Stąd bowiem zostało zaczerpniętych bo dajże nawięcej przykładów. Znamość tej publikacji będzie potrzebna do omawiania wielu zagadnień z zamierzonych czasów z okazji zbliżającego się Tysiąclecia naszej państwowości.

Oddajmy tu głos samemu autorowi, który w końcu pracy pisze: „Jeżeli będziemy mieli otwarte oczy na to, co nas we wsi otacza, jeżeli potrafimy w pewnych jej szczegółach (miedzach, drogach, ścieżkach, pasmach pól, granicach, w układzie zagrod itp.) widzieć wyniki głębokiej niezmiennej przeszłości i jeżeli z jej śladów — jakże jeszcze licznych — potrafimy odczytać dzieje wsi jak z otwartej księgi historii, cel nasz będzie osiągnięty...”

Ta lekcja historii, jaką nam dało czytanie śladów dawnej wsi, powinna wskazać także jasną drogę przyszłego jej rozwoju.

Dodać trzeba, że praca „Od osady słowiańskiej do wsi współczesnej” jest początkiem serii Biblioteki Popularnej Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Seria ta niewątpliwie przyniesie dla nas ciekawe wydawnictwa.

J. H.



... pan Alojzy Gumper, brygadier sceny — spieszy na pomoc...

ZAPOMNIANE MIASTECZKO

Zaglądam do notesu: „Wielichowo, pow. Kościan, 1500 mieszkańców, 75 proc. żyje z rolnictwa, zakłady produkcyjne — młyn, młeczarnia i wytwórnia kilimów. Ktoś powiedział: „Miaścisko zapomniane przez Boga i ludzi”. Tyle zdołałem się dowiedzieć przed podróżą.

Główna ulica, Bohaterów Stalingradu, spokojna i nie-ruchliwa, jakby po długiej zimie wygrzewała się w majowym słońcu. Czasem zaczepie koń ciągnący stukoczącą na bruku furmankę, czasem człowiek zagada przez szerokość jezdni do znajomego, rzadziej przejeżdża ciężarówka „Geesu”. Każdy obcy samochód budzi powszechne zainteresowanie: kto, do kogo i po co. Ludzie są powolni — nikomu się nie spieszy...

Wielichowo leży z dala od głównych traktów komunikacyjnych. Jedyną łączącą je ze światem jest powolna wąskotorówka Rakoniewice — Bojanowo Stare. Ale cienka to nić: rano tam, wieczorem z powrotem.

Przy pryncypalnej ulicy nad bramą piętrowego budynku sprawującego tu, w towarzystwie małych schludnych domków, wrażenie gmachu — szara tablica z napisem: „Wielkopolska Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Poznaniu, pracownia w Wielichowie”. Z bramy przy pominającej wrota stodoły wyjeżdża wóz zaprzężony w dwa konie. Pierwsze wrażenie nie najlepsze — pracownia wygląda raczej na zabudowanie bogatego gospodarza. A więc to tu, w tej budzie, powstają kilimy, które cieszą się opinią najładniejszych i najlepszych w kraju?

W dwóch wielkich izbach — czternaście czynnych krosien.

Loty bez precedensu

Moskwa — Irkuck — Moskwa bez lądowania

„TU-114-D” to nowy wariant radzieckiego turbośmigłowca pasażerskiego „TU-114” konstrukcji słynnego Tupolewa. Ten potężny samolot wyposażony w cztery silniki turbośmigłowe odbył ostatnio kilka lotów bez precedensu w historii lotnictwa pasażerskiego.

„TU-114-D” przebył bez lądowania trasę Moskwa — Irkuck — Moskwa długości 8600 kilometrów, osiągając przeciętną szybkość 800 km na godzinę. Po wylądowaniu w Moskwie w bakach „TU-114-D” pozostało jeszcze paliwa na 1,5 — 2 tys. km lotu.

Trasa drugiego lotu „TU-114-D” prowadziła z Moskwy do Władywostoku i z powrotem. Podróż bez lądowania ze stolicy ZSRR do wybrzeża Oceanu Spokojnego trwała 9 godzin. Gdy „TU-114-D” lądował na lotnisku pod Władywostokiem na stację we Władywostoku przybył właśnie pociąg z Moskwy. Znajdował się on w drodze 9... dni.

W wywiadzie udzielonym dziennikowi „Prawda” główny konstruktor samolotu A. H. Tupolew oświadczył, że w kabinach „TU-114-D” utrzymywane jest stałe ciśnienie powietrza oraz normalna temperatura i wilgotność powietrza. Samolot może dokonywać lotów na wysokości 10—12,5 tys. metrów.

Przy budowie samolotu znalazły szerokie zastosowanie tworzywa syntetyczne, jak np. masy plastyczne, sztuczne szkło i guma syntetyczna. „TU-114-D” jest wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne i radiowe. Samolot nie potrzebuje długiego pasa startowego.

(PAP)

W trzeciej — przygotowuje się kilka warsztatów.

Nic nadzwyczajnego. Magazyn też nic nie mówi. Na ścianach półki mienią się różnokolorową przedzą. Trochę puszek z barwnikami, kilkanaście wykończonych kilimów, na środku waga.

Właśnie tu — jak się to wśród dziennikarzy mawia — zlapałem pierwszy materiał. Agnieszka Nadobnikowa figuruje na etacie magazyniera. Nie przeszkadza jej to wcale, gdy zabraknie kierownika artystycznego, dojeżdżającego co parę dni z Poznania, zdecydować o doborze kolorów do jakiegoś wzoru. Pracuje w wytwórni od dwudziestego któregoś roku, prawie od jej założenia po „tamte wojny”. Przed wojną, kiedy jeszcze żadne „Geesy” nikomu się nie śniły, kilimiarstwo było jednym z obok młynów i młeczarni — źródłem zarobkowania. Może ludzie uważali ją za dobrodziejstwo... Zarabiali coś około 30 złotych miesięcznie. Dziś też im się nie przelewa, ale jakoś nie odchodzi, bo gdzie? Może też przyzwyczaili się do swej pracy, może ją nawet polubili? „Dojeżdża do Kościana czy nawet, jak kilku, do Poznania? Panie, to męka wstawać co dzień o trzeciej rano. Lepiej już żyć za te 800—900 złotych na miesiąc”.

Zagaduję kobiety pracujące na krosnach. Niewiele się tu taj zmienia. Takie same jak przed wojną warsztaty, ta sama technika tkania, nawet wiele tych samych ludzi. Farbiarz, mąż magazynierki, Stefan Nadobnik, siostry Klara i Helena Bręborowicz, Maria Przybylska, Józwiakowa — zęby już zjedli na kilimach. Są i młodsze: Agnieszka Riedel, Emilia Tic, a Jadwiga Weiss nawet swą starszą córkę ściągnęła.

Ręce kilimkarek biegają między liniami niemi osnowy z nieomylną precyzją. Przeplatają szybko wełniany wątek dobierając jego kolor i długość zależnie od wzoru, aż stopniowo nie wyczarują płaszczyzny, grającej rytmem rysunku i tonem kolorów. Te kilimy, z tego „gospodarskiego zabudowania” idą potem na rynek krajowy i na podbój zagranicy.

Przewodniczący wyszedł na małe jasne. Poinformowany o mojej wizycie — w takiej dziurze każda wieść rozechdzi się z szybkością telefonu — przyszedł do Prezydium. Potem już razem, sekretarz, przewodniczący i ja, jeśliśmy gadkę na wielichowskie tematy. Raz po raz sekretarz wstawał od biurka i jako że budynek Prezydium Miejskiej Rady leży w samym środku miasta — prowadził mnie do okna, by poprzeć swe wywody obrazem z natury.

Tu po raz drugi zetknąłem się z interesującymi sprawami. — Widzi pan ten piętrowy dom w końcu rynku? Zajmuje go milicja.

Milicja bynajmniej nie jest głównym bohaterem tej historii, ale — radni Wielichowa tak sobie upatrzyli — odgrywa w niej pewną rolę.

Przy ulicy Lipowej rozpoczęto sposobem gospodarczym budowę domu, którego mury podciągnięto do sufitu parteru. Dalej nie można, bo, wszystko rozbija się o brak pieniędzy. Żeby tak zdobyć 90 tysięcy wybudowałoby się piętrowy, a jak nie, to choć 30 — wystarczy na wykończenie parteru. Dachówka leży na podwórzu Prezydium i czeka by uwieńczyć dach dzieła.

Kiedy kwestionuję czy taka suma wystarczy, słyszę:

— To nie to, co w dużym mieście. My budujemy tanio, za projekt zapłaciliśmy 600 złotych.

Dom po milicji przeznaczony był na mieszkania dla nauczycieli, bo w szkole duża rodzina kierownika, będzie z 10 osób, zajmuje 3 pokoje z kuchnią. Z tych pokoi zrobiłoby się klasę, a gdyby i to nie starczyło można, jeszcze jedną wykroić tu z Rynku...

Gdyby kilka lat temu w Wielichowie ktoś wspominał o stałym kinie, ośrodku zdrowia, aptece, dentyście, w najlepszym razie ludzie znaliby go za fantastę, a pewnie znaleźliby się i tacy, którzy stukaliby palcem w czoło. Nie wiem czy tak było, ale ktoś musiał o tym pomyśleć bo dziś wszystko to jest. Jest też pani, bez której trudno sobie wyobrazić moment przyjazdu na świat nowego obywatela PRL, — ale to już nie wystarczy. Postanowiono wybudować izbę porodową. Jest nawet termin — 1960 rok — ba! komitet społeczny zebrał 9 tysięcy.

Zapisuję: „Coś się jednak zmienia, przez x lat nikt nie uważał, że taka inwestycja jest konieczna”.

Spod szybko poruszających się rąk dwu sióstr — Klary i Heleny Bręborowicz, które już przeszło trzydzieści lat spędziły nad warsztatem — wychodzą kolorowe wzory pięknych kilimów.

Fot. (3)
K. Przychodzki

Zwiedzam sklepy wielichowskiego „Geesu”. Artykuły gospodarstwa domowego, żelazo, artykuły elektro-techniczne. Pytam o towary, na temat których w Poznaniu otrzymuję na ogół krótką odpowiedź: „nie ma”. Wszystko jest, nawet „Szarotki”. Wreszcie, zirytowany, pytam z triumfem:

— A żarówki 25-wattowe? Były. Kupiłem 4 sztuki. W sklepie obuwniczo-tekstylnym nabyłem 4 m kretonu, fantastyczny deseń po 12 złotych, w masarni — już przyzwyczajony do Wielichowa — zacząłem wybierać. W końcu zdecydowałem się wziąć

„Drogi pan Hitler” wśród bawarskich piwoszów

Z nieznanych dokumentów NSDAP

Wichym Monachium, dziesiąt milionowym miasteczko nazywanym wielką wsią, Hitler prowadził z początku w skromnych lokalach działalność nie różniącą się w zasadzie od podobnej roboty innych małych towarzystw i partylek. Jednocześnie jednak z miesiąca na miesiąc rosło znaczenie Nationalsozialistische Arbeiterpartei i jej przywódcy. Z tego okresu po raz pierwszy mamy możliwość zapoznania się z załącznikami działalności przyszłego NSDAP na podstawie niezwykle ciekawych dokumentów udostępnionych właśnie historykom przez zdobywców archiwum, wojskowe władze amerykańskie.

Jak wynika z relacji Reginalda H. Phelps’a („Deutsche Rundschau” nr 5 1959) do niewielkiej kancelarii gromadzącej pierwszych narodowych socjalistów, nadeszły w październiku 1923 r. 174 listy. Nadawcami byli w większości poczciwi Bawarczyści. W bluzie prócz Hitlera urzędował Haufstängl, Strasser, Lauböck, wpadał od czasu do czasu Röhm, Rosenberg. Korespondencja kierowana była najczęściej na nazwisko Adolfa Hitlera.

„Po prawej — wysoka góra”...

Adresat już wtedy był przedmiotem historycznych niesień również kobiet. Charakterystyczne dla tego rodzaju sentymentalnych wynurzeń są dwa, pełne błędów ortograficznych i stylistycznych listy z sierpnia i września 1923 r.



wołowinę na „rolady” i trochę cieleciny od „kulki” bez kości.

W gospodzie za 7 złotych polskich podano zrazy zwołane nieco gorsze niż w naszej kategorii „S”.

Przed wyjazdem zapisałem: „Jak oni tu kalkulują?”

Jeszcze raz przeglądam notatki i na początku czytam: „Miaścisko zapomniane przez Boga i ludzi”. To twierdzenie — w konfrontacji z rzeczywistością — bierze w łeb. Może niezupełnie, bo decydowanie o tym czy Bóg zapomniał o Wielichowie, czy też nie, nie leży w mojej kompetencji.

Marian FLEJSIEROWICZ

Pod wpływem majaczeń sennych pisał zachwycony przysięgłym „Führerem” mieszkanka Monachium:

„...Po prawej wysoka góra... Od północy wielkie morze... W domu na pierwszym piętrze była kucharka, a gdy stanęłam naprzeciw niej, w tym momencie wszedł pan Hitler i zajął miejsce za czterokątnym stołem... Potem zjawił się jakiś człowiek, wysoki, w pstrym ubraniu i wyzywającym gestem powie dział: dzisiaj musi, musi się skończyć z Hitlerem. — Na co ja powiedziałam do niego i powiedziałam mu: ale pozwól Pan na moment, jak Pan zamysla dzisiaj zniszczyć Hitlera, to niech Pan każe sobie powiedzieć, że przedźle będa zabić inni, ale nigdy Hitler”.

W trzy tygodnie później nadeszły od tej samej autorki drugi list:

„...W niedziele rano pokazał mi się wielki pochód, który od południa kroczył przez Theatnerstr. na północ, a zatrzymał się przy Feldherrnhalle, teraz zabrał gips Führer, a jak mówił, to tak jak Chrystus! A którzy poszli za nim, byli od najmłodszych (ci pierwsi za nim) aż do siwych starców. To był pochód zwycięstwa. Pan stał na czele — Chrystus wśród nich...”

Nadzieje późniejszych band UPA

Obok tego rodzaju bredni, które jednak mimo to mogą stanowić pierwsze zadatki przyszłej masowej hysterii, są we wspomnianych zbiorach również listy, które niechybnie już wtedy wpływały na kształtowanie podstawowej tezy narodowego socjalizmu o „niebezpieczeństwie komunizmu”. Wyjątkowo na marginesie listu, który zacytujemy, pozostały ślady niebieskiego ołówka. Widocznie adresat, wówczas jeszcze niejaki „pan Hitler”, czytał list od b. „atamana z Ostranicy”, z wyjątkowym zainteresowaniem:

„Wydaje mi się, że narodowy socjalizm weźmie górę tylko wtedy, jeśli wychodząc poza ramy ruchu czysto niemieckiego przyjmie do pewnego stopnia charakter międzynarodowy...”

Autor wyklada dalej elementy teorii o stworzeniu państwa prezencyjnego wokół ZSRR. Tworzyłyby go: Finlandia, Estonia, Litwa, Białoruś, Łotwa, Galicja, Rumunia i Litwa jako namiastki przyszłej Ukrainy, tworzą buforowego zaplanowanego przez Niemców.

„Stworzone w ten sposób bazy narodowego socjalizmu i punkty oporu w Finlandii, Estonii, Łotwie, stworzyły dla Rosjan możliwość oporu w walce z bolszewizmem i pierwszy warunek przesilenia narodowego socjalizmu do Wielkiej Rosji. Narodowy socjalizm stworzył narodowemu socjalizmowi ukraińskiemu, tzn. Narodowemu Zjednoczeniu Ukraińskiemu Kozaków, możliwość objęcia terytorium Ukrainy i państw czarnomorskich. To byłaby droga prowadząca najpewniej do przewrotu od wewnątrz”.

Bardzo wcześniej zgłoszą się do współpracy — antysemita. Pod koniec czerwca 1923 r. Pfeiffer z Monachium pisze o planie rozbudowy organizacyjnej „Niemieckiego Zjednoczenia Światowego Uwolnienia od Żydów” i proponuje zjednoczenie całego ruchu antysemitckiego.

Widocznie sprawy poruszone w liście wydawały się Hitlerowi bardzo interesujące, skoro na marginesie naznaczono spotkanie z Pfeifferem już na następny dzień.

„Niech pan zamelduje się jako Hofmann”

Wcześniej zainteresują się nowym ruchem nazistowskim również przedstawiciele kół arystokratycznych i wojskowych. W dniu 11. IV. 1923 r. prosi o spotkanie z Hitlerem hrabina Thöring-Jettenbach. Chciałaby...

„Jako jedna z tych, które darzą olbrzymim zainteresowaniem Pańską osobę jak i sam ruch, rozmawiać w sprawie dotyczącej m. in. Luddendorfa, co mogło odegrać ewentualnie pewną rolę dla Pana i dla partii”.

Po wizycie Hitlera w pałacu przy Karolinenplatz pisze hrabina Thöring-Jettenbach:

„W zasadzie uzgodniłam, iż dla Pańskiej osoby będzie lepiej, jeśli wobec szerokiej opinii nie

będzie się Pan kontaktował z krewnymi b. bawarskiego domu królewskiego, a będzie się Pan legitymował w recepcji u marszałka dworu jako pan Hofmann, a marszałek zaprowadzi Pana natychmiast do Jego Królewskiej Wysokości. Z niemieckim pozdrawieniem — Heil!”

Ale były też inne listy. W dniu 1. IV. 1923 r. pisał do Hitlera prof. dr Arnold Ruge, który zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że wokół przywódcy gromadzi się najgorszy element:

„Zdaje się, że, przyjął Pan obyczaj wielkich ludzi trzymania się z daleka od prawdziwych przyjaciół i wypróbowanych w walce współbojowników... Już się kiedyś znalazł okazja, gdy będnym mogli się wypowiedzieć; może krąg kreator i pochlebów nie będzie do tego czasu tak zwarty, by nie można się przez niego przeprzeć”.

J. Iversen nie zgadzając się z kierunkiem „Völkischer Beobachter” w redakcji Alfreda Rosenberga, pisał:

„Jest Pan, Panie Hitler, wielkim przywódcą. Ma Pan zasługę poruszenia mas, mimo niedociąganie organu partyjnego. Ale ale jest Pan mężem stanu...”

Zdumiewająco szczere i nawiązujące do listy bawarskich piwoszów, rozhisteryzowanych kobiet, wrogów komunizmu i antysemitów. A jednak i w tych skromnych dokumentach — zawierających przede wszystkim deklaracje ślepego uwielbienia — tkwią zadatki zła, które można było pokonać tylko wówczas, w samym początku.

Winę za to, że się tak nie stało, składa Reginald H. Phelps w gruncie rzeczy na społeczeństwo: „Co się tyczy osobie Hitlera, jedno smutne wrażenie, że jak pływak pozwolił się unosić morzu... Podczas gdy partia, zwłaszcza pod wpływem Röhma i Göringa, przyjęła postawę aktywnie rewolucyjną, jej przywódca otoczony po chlebami grał rolę nieodpowiedzialnego cygana” (dosł. Bohemien — red.).

Był rok 1923. W dziesięć lat później „Führer” objął neo-graniczoną władzę kanclerza III Rzeszy. Sam mechanizm dojścia do władzy tłumaczył doskonale słowa wypowiedziane niedawno z innej zupełnie okazji przez czołowego publicystę hamburskiej „Die Welt” (19. IV. 1958 nr. 91):

„Niewiele jest rzeczy do których by nie można Niemców przyzwyczaić, byle im tylko zostawić na to czas”. A czas się znalazł. Od 1923 r. licząc, trzeba było równych dziesięciu lat.

A. W. W. (ZAP)

Nowości z kraju i ze świata

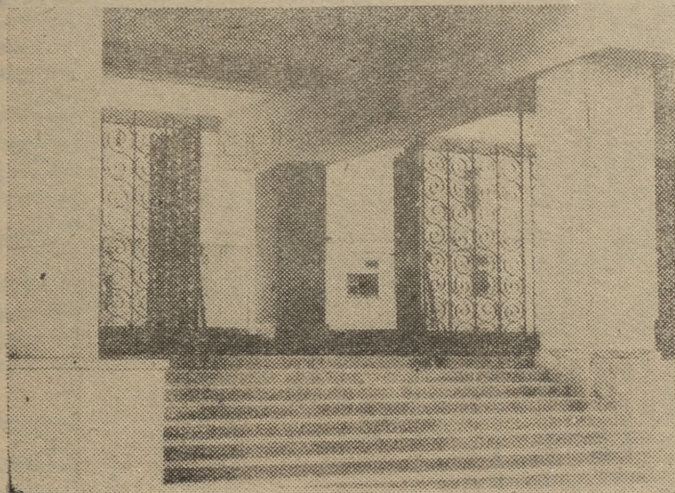
• Na wyspie Porto Rico dokonano ciekawego eksperymentu przy budowie 1625 domów. Do skonstruowania ich użyto przenośnej stalowej formy. O jej rozmiarach może świadczyć fakt, że każdy z tych domów posiadał cztery pokoje, kuchnię i łazienkę — nie licząc drobniejszych pomieszczeń.

Najpierw układano na ziemi żelbetonową płytę, która stanowiła jednocześnie fundament i podłogę przyszłego domu. Na tę płytę potężny dźwig stawiał formę stalową, będącą szalowaniem zarówno dla wewnętrznych jak i zewnętrznych ścian. Wewnątrz formy umieszczano siatki stalowe i kanalizacyjne oraz przewody elektryczne, po czym zalewano ją szybkościerającym betonem.

Po dostatecznym stwardnieniu betonu, ściany domu nakrywa się drugą płytą, będącą jednocześnie sufitem i dachem. Jeden dźwig umożliwia budowę sześciu takich domów dziennie.

• Jedną z angielskich firm produkuje nowy rodzaj drzwi, wypełnianych warstwą krótkich, jednakowej długości odcinków słomy; tak ściśle splecione, że na każdy cm. przynosi kilkadziesiąt słomianych rur. Nowy typ drzwi stanowi doskonały izolator cieplny i dźwiękowy. (at)

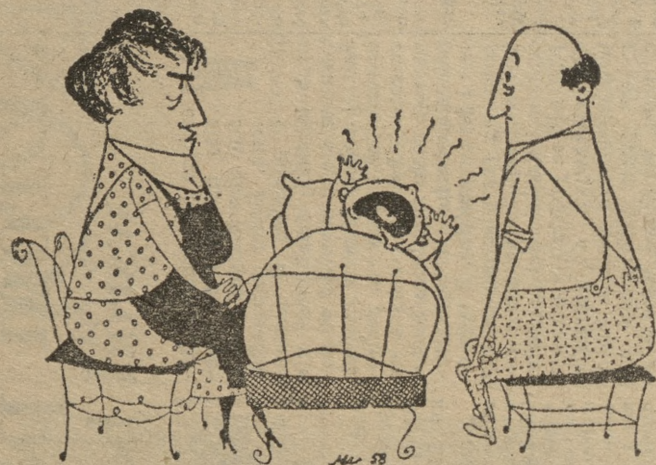
ZNACIE?



Tym razem coś dla spostrzegawczych. Obiekt, utrwalony na naszym zdjęciu, nie należy do zabytkowych budowli Poznania, niemniej jednak dzięki swemu dość charakterystycznemu wyglądowi, może utrwalić się w pamięci przechodnia, który lubi oglądać swoje miasto.

Za ubiegłotygodniowe, trafne rozpoznanie Pręgieryza nagrody otrzymują: Bolesław Wojtyński, ul. Niecała 3a, m. 13, Wojciech Błażejczak, ul. Dojazd 39, b. 13, m. 5, oraz Jerzy Gaertner z Obornik. P. Gaertnerowi nagrodę przesłaliśmy pocztą, pozostałe do odebrania w redakcji, pokój 66 w godzinach od 11 do 15.

NO TO ODPOWIEDZCIE



— A może bym mu coś zaśpiewała?

— Jeszcze nie, spróbuj na razie po dobrym...

(Z ostatniego numeru „Kaktusa”, który możesz jeszcze kupić w kiosku za 1 złotego).

Rys. M. Kryszczukajtis



Setną rocznicę urodzin obchodził p. Charles Siefert — mieszkaniec St. Louis. Rokita i Przybylski powiedzieliby: „Duże brzo, proszę państwa”.

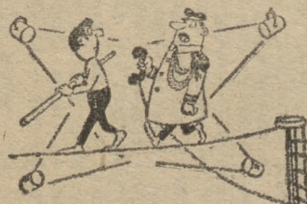
Fot. — CAF



Bez podpisu



— No dobrze, ale kto w takim razie przynosi dzieci bocianowi?



— Panie Trampolini, telefon do pana!

Rozwiązanie krzyżówki

K	A	R	A	B	E	L	A	.	A
T	U	R	A	.	O	W	A	D	.
K	A	P	A	R	.	K	A	R	O
I	K	A	R	.	K	O	N	A	R
L	.	A	A	R	.	S	K	A	.
O	P	S	.	L	A	S	.	T	.
M	A	R	A	T	.	K	A	P	O
E	R	O	S	.	T	O	W	A	R
T	Y	K	A	.	U	R	A	N	.
R	.	A	N	O	M	A	L	I	A

Za nadesłanie poprawnych odpowiedzi nagrody książkowe, przyznane drogą losowania otrzymują z Poznania: Maria Wiśniewska, ul. Poznańska 52, m. 10, Józef Szmeterling, ul. Kosińskiego 7 m. 42 i M. W. Leszczyńska — Al. Hetmańska 30 m. 4 oraz Jadwiga Piotrowska z Leszna i Krystyna Woźnicka z Łagiewnik. Zamiejscowym nagrody przesłaliśmy pocztą.

● Świat dzisiejszy jest tak wykrzywiony, że trzeba na niego patrzeć przez krzywe zwierciadło, aby widzieć go jako tako presto (pisarz amerykański, Dos Passos).

● Pesymizm jest przywilejem młodych. W starszym wieku nie ma się na to czasu (Winston Churchill).

● Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które się rumieni — i ma po temu powody (Mark Twain).



Młodzieńcza wyprawa

Karl Andersen, 83-letni mieszkaniec Kopenhagi, postanowił wybrać się w ciągu tego rocznego lata na wycieczkę rowerową do Wiednia. Pan Andersen, który jest już pradiadkiem, przejechał dotąd na rowerze przez całą Skandynawię i Niemcy. Na tegoroczną wycieczkę zabierał on z sobą 56-letniego kolegę — Mariusa Eskildsenę.

Nie wolno, Tomku...

W Texasie wydano zarządzenie, na podstawie którego nie wolno trzymać w mieszkaniu krokodyli nawet jeśli zgadza się na to właściciel mieszkania.

Dziurawe argumenty

P. Grammans z Sacramento wystąpił do sądu o rozwód twierdząc, iż żona nie interesuje się nim zupełnie. Jako dowód położył na stole siedzówkę 52 pary dziurawych skarpet.

...a sam smoli

Kierownik szkoły w Mirado de Ebro (Hiszpania), wydał zarządzenie zamykania drzwi



— Spojrzenie ma zupełnie takie jak tatuś!

szkoły punktualnie o godz. 8. Chciał on w ten sposób ukarać spóźniających się uczniów. W kilku klasach nie odbyły się lekcje, gdyż spóźnili się... nauczyciele.

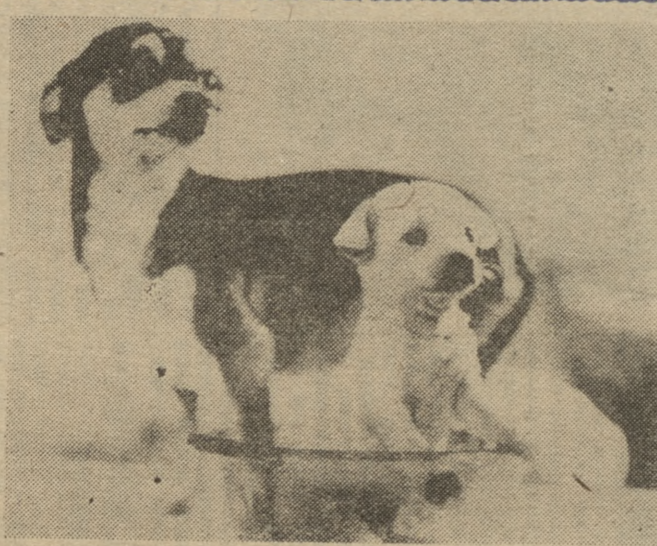
Zapach,

który zabija młodość

Studentki jednego z domów akademickich w Sydney (Australia) zwróciły się z jednym z żądań do kucharza, aby w soboty nie przygotowywał żadnych potraw, zawierających czosnek. Powód: studentki w dniu tym wychodzą do miasta.

Baczność!

Do Egiptu sprowadzono z Japonii transport nowego typu



Psi papa jest także bardzo dumny ze swej pociechy...

KAWNICA w powiecie konińskim chwali się największym w Wielkopolsce jałowcem, który liczy ponad 12 m wysokości. Szukać go należy w tamtejszym parku.

KRAMSK (w tym samym powiecie) istniał już w XIII wieku. Ta dziwna nazwa pochodzi od strugi Krapin, a nazwa Krapin od krepia czyli gatunku ryby.

KOŚCIELEC pomiędzy Koniinem a Kołem. W parku — sztuczne ruiny, sztuczna grota z podziemnym gankiem, ba

zapałniczek. Zapalając się, grają one narodowy hymn egipski.

Nierówności nierównościom nie równo...

Na jednej z wylotowych ulic miasta Cherrybrook (USA) umieszczono ostrzegawczą tablicę, wzywającą do ostrożnej jazdy. Napis na tablicy głosi: „W tym miejscu został ciężko ranny pewien kierowca, który bardziej interesował się nierównościami terenu swojej towarzyski podróży, niżli nierównościami terenu, po którym biegł szosa”.

Ze świata znaczków

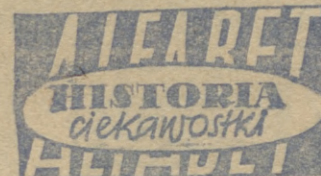
Związek filatelistów NRF zwrócił się z prośbą do papieża o mianowanie ich patronem archanioła Gabriela. Decyzja papieża jak dotąd nie jest znana.

Szacunek dla jubilata

Przed sądem w New Haven (USA) stanął John Murphy oskarżony o chuligańskie wybryki w stanie nietrzeźwym. Gdy sędzia dowiedział się, że Murphy odpowiada przed sądem za to samo wykroczenie po raz pięćsetny (!) wydał wyrok z zawieszeniem.

Jak on to chciał zrobić?

„Podróżuję za 3 dolary wokół świata” — taki napis można było odczytać na samochodzie, który zaparkowano na jednej z ulic w Montrealu. Niestety — nie po właściwej stronie ulicy. Właściciel samochodu zapłacił... 3 dolary grzywny.



— nawet sztuczny minaret! Dawniej należał do dóbr kościelnych, w roku 1815 dobra te za taniocę kupił hr. Kreutz — zdaje się, że to jeden z ówczesnych rosyjskich generałów.

JUŻ w roku 1683 istniała polska poczta w Lesznie

Do Redakcji
„Nowego Świata”

W związku ze zbliżającym się obchodem 400-lecia Poczty Polskiej warto wspomnieć o pierwszej poczcie polskiej w Lesznie — jednej z najstarszych w kraju.

Leszno — gniazdo rodzinne znanej w dziejach Polski rodziny Leszczyńskich — było do początku XVI wieku biedną wsią. Dopiero po osiedleniu się braci czesko-morawskich zyskało znaczenie i prawa miejskie.

W czasie wojen religijnych w Niemczech i Czechach, Leszno stało się przytułkiem wielu reformatorów z Czech i luteranów ze Śląska. Mieszkał tu długie lata Jan Amos Komenski — sławny pedagog czeski. W 1937 roku obchodzono w świącie 300 rocznicę wydania jego wybitnego dzieła „Opera didactica omnia”. Czechosłowacja i Polska wydały specjalny znaczek



pocztowy z podobizną tego uczonego.

W XVII wieku Leszno, znajdujące się na głównej magistrali Wrocław — Poznań — Gdańsk, było węzłem komunikacyjnym, łączącym Czechy i Śląsk z Pomorzem. Zdając sobie sprawę z dogodności takiego połączenia, ojcowie miasta Leszna wszczęli energiczne starania o utworzenie własnej

poczty. 27 kwietnia 1683 roku Jan III Sobieski nadał miastu ten przywilej.

Leszno uzyskało również prawo samodzielnego powołania pocztmistrza. Przywilej królewski podkresła, „...aby wymienieni urzędnicy wiernie przestrzegali prawa pocztowego, naszego przez przywilej nadanego wymienionemu miastu Lesznu i czuwali nad tym, że będzie ono przestrzegane także przez ich podwładnych i ażeby mieli troskę, że poczta warszawska także z Prus i Wrocławia nie będzie przewożona na żadnej innej drodze, jak na zachowanej dotychczas, mianowicie przez Toruń, Poznań i stąd przez Leszno, Nowe Bojanowo i Rawicz...”

Dokładnie nie wiemy, jaki Leszno uczyniło użytek z tego przywi-



leju. Tyle tylko, że natrafiliśmy na pewien protokół, odnaleziony przez członków niemieckiej komisji historycznej do spraw poczty, którzy w latach 1877—1880 buszowali w Królewskim Archiwum Akt Dawnych w Poznaniu, gdzie były przechowywane akta miasta Leszna. W protokoile tym czytamy:

„4 marca 1688 konferował cały tutejszy urząd pocztowy z Piotrem Woyde z Rady i przy tym uwolniono od opłaty pocztowej listy Rady, a także całego Kolegium, urzędników i krewnych.”

Cóż, dokument, poza tym, że świadczy o niegorzej już wów czas rozwiniętym zmyśle kumoterstwa — mówi również, że pierwszym królewskim pocztmistrem w Lesznie był Piotr Woyda. Nazwisko to powtarza się jeszcze kilkakrotnie w aktach poczty leszczyńskiej, co każe domniemywać, że stanowisko pocztmistrza dziedziczone w rodzinie Woydów bodajże aż do rozbiorów Polski.

Ustanowiony przywilejem Jana III Sobieskiego polski urząd pocztowy mieścił się na skrzyżowaniu ul. Kościelnej i ul. Okólnej.

Aleksander Snieżko
Muzeum Pocztove, Wrocław

Miss Szwecji 1958 — brocza. 19-letnia Britt Gardman z Lidingö, weźmie udział w konkursie na Miss Universum. Oświadczyła jednak stanowczo, że nie ma zamiaru wykorzystać pobytu w Ameryce na starania, by zostać gwiazdą filmową. Po konkursie wraca do domu i do studiów. Britt chce bowiem po prostu zostać nauczycielką. Przynajmniej jedna...

Fot. — CAF